Nakład 1200 egzemplarzy. NUMER POJEDYNCZY 30 GROSZY.
ROK II. 15 MARCA 1931 R. NR 8.



NASZE ŻYCIE

ORGAN MŁODZIEŻY SZKÓŁ ŚREDNICH

Prenumerata: 1 zł kwartalnie, 2 zł. półrocznie, 4 zł. rocznie.
Wydawca: Kółko Historyczne uczniów II-go Państwowego Gimnazjum w Tarnowie.

CENY OGŁOSZEŃ: Strona 40 zł. ½ strony 20 zł., drobne 1.50 zł.
Adres Redakcji i Administracji: Tarnów. II Gimnazjum. — Redakcja przyjmuje w soboty od 4-6 po południu w II Gimnazjum Ip. — Rękopisów nie zwraca się.

W dniu Imienin Marszałka.

Cały naród polski składa dziś hołd swojemu Drogiemu Wodzowi, swojemu Bojownikowi o Wolność i Prawość, temu Mężowi, który całe swe Życie, cały swój Genjusz poświęcił dla dobra Ojczyzny. Naród polski z całem zrozumieniem docenia znaczenie Jego działalności dla odzyskania Niepodległości i odbudowy wewnętrznej Państwa, dlatego też niestrudzonemu Budowniczemu wyraża w dniu Jego Imienin hołd i podziękowanie za Jego pracę, wyraża swe najgłębsze życzenia, aby mógł długo jeszcze pracować dla dobra i rozwoju potęgi naszej Ojczyzny. Do miljonowych głosów całego Społeczeństwa dołącza się i młodzież polska, która swemu Kochanemu Dziadziowi ofiaruje swe gorące i czyste serca, jako najdroższy Podarek Imieninowy i wyraża pragnienie, aby jej największy Przyjaciel żył jak najdłużej, aby mogła, idąc Jego śladami, uczyć się miłości i poświęcenia dla Ojczyzny, uczyć się pracy dla dobra swych Braci-Współobywateli.

Przywiązanie więc i wdzięczność wszystkich niech będzie symbolem nagrody dla Marszałka Józefa Piłsudskiego, a okrzyk wzniesiony na Jego cześć niech przebiega od Tatr śnieżnych aż po Bałtyk i niech oznajmia światu, że On, nasz Wódz, jest największym Człowiekiem Doby Obecnej!

Za Redakcję ***Józef Gira.***

PIEŚŃ LEGJONÓW.

Zawsze żołnierz polski będzie
konał w boju — żył w legendzie

Poezja narodu, to skarbiec świętych pamiątek przeszłości, to echo potęgi i czynu, zwycięstw i klęsk, świetlanych chwil i mrocznego nieszczęścia...

Tu widnieje dusza narodu, jego wieczny duch, wraz ze swemi wzlotami, ze swą siłą



Tytana, jaśnieje radość i czerni się zasępiony smutek, bije zapał, siła i ofiarność, to znów bezsilność i apatja życiowa ogarnia słabe serca...

Gdy pocznie się czyn wielki i szlachetny, podąża za nim pieśń, rozbrzmiewa siłą zapału, tchnie nieugiętą odwagą i bezgranicznym heroizmem. Czucia i myśli narodu, jego marzenia i troski, jego dążności i prądy przejawia pieśń, przepływająca nad ziemią na skrzydłach poezji.

Na horyzoncie dziejowym poczęły zbierać się czarne chmury, wróżąc nieszczęścia i śmierć, — świat cały ogarnął szał wojny. Odwieczni nasi wrogowie-zaborcy stanęli w dwóch wrogich sobie obozach.

Zrozumiał naród polski, że idzie chwila decydującej walki, — w której z bronią w ręku upomni się o swe prawo do niepodległego bytu, czynem orężnym udokumentuje swe żądania, przekona państwa europejskie, że Polska zdolna jest do niezależnego życia, mocą swej ofiary i bohaterstwa, złożonych na ofiarnym stosie wolności Ojczyzny...

Wśród niepewności i dezorjentacji politycznej, wśród wahań i wyczekiwania, zrodził się czyn samodzielnej walki o przyszłą wolną Ojczyznę... Rankiem, w słoneczny dzień sierpniowy, ruszyła z Oleandrów garstka owych straceńców w nieznaną przyszłość, na niepe-

wny los wojny, lecz pełna wiary w powodzenie rozpoczętego dzieła...

Ja mam wiarę, a słodką, jak granie.
Wiarę silną, w mej Polski -- Polski
zmartwychwstanie...

Z temi słowami na ustach, szedł młody żołnierz legjonista w śmiercionośny wir bojów roku 1914-tego.

A wiódł ich Wódz, dusza legjonów, wcielenie orężnego czynu, co nie cofa się, gdy się raz porwie, wiódł ich Komendant Józef Piłsudski. On ich uczył, że „być zwyciężonym, a nie ulec, to zwycięstwo", — urabiał ich dusze, hartował młode ciała, uczył miłości Ojczyzny, poświęcenia i pogardy życia. Pokochali go młodzi rycerze, w nim złożyli wszystkie nadzieje, a choć „lali krew osamotnieni", nie łamała się ich wola, szli niezłomni drogą śmierci i cierpień, a osłodą im było, że „z nimi był ich dzielny Wódz"...

Zapatrzeni w ideę Wolnej Ojczyzny, ginęli cicho wśród zawieruchy wojennej, wierzyli, że „chcieć, to móc", że nie nadaremne ich boje. Los ciemiężonej Polski już się dopełnia, a zmagania legjonów, to ostatnie krwawe ogniwo w łańcuchu cierpień Polski.

I potężniał czyn, a sławę jego głosiła pieśń, pieśń gromów, śmiertelnych błyskawic i cichego konania od wrażej kuli. Pieśń roznosiła po całym kraju dolę i niedolę żołnierza tułacza.

Drogą ciernistą, przez głód i chłód, przez śniegi i bagna szedł legjonista bez cienia obawy bo zawsze przed nim jaśniał cel jeden, święty, jak przykazanie, że Ta „co nie zginęła" powstanie z ich krwi, dla Niej żyć, cierpieć i konać...

Tam, w czystem polu, rozoranem kartaczami, pędzi szarża ułanów, potomków nieulęknionych husarów...

I oto ułański szyk, jakby z podziemi
Wstał gotowy już do bitwy.
Poszli z zachwytem w twarzy,
Szlakiem polskich husarzy.
Wichr im do tańca grał.
W piorunach szli i błyskawicach,
Wiódł ich i gniew i szał,
Polskę mieli w źrenicach...

Pognali w bitew wir szalony, pognali na śmierć, zginęli tradycją ułanów Samo-Siery... Zniknęli...

...W ślad za nimi podniosła się jakaś szara plama, zbliża się cicho i tajemnie, powoli przyspiesza biegu... To atak piechoty wśród nocy. Poszedł na zagubę „przez śmiertelne chce przejść próby".

Huragan dźwięku, huku, wycia,
Bezwładny, ślepy i niezłomny ,
Wydarty z kręgu życia...

Nie jedno zgasło tam życie, nie jeden dom w kraju okrył się żałobą, tam kośba śmierci obfite sprawiła żniwo...

Twarzą do ziemi, żołnierz opodal
jęcząc dyszał,
Jęk to żałobny był, niemęski,
Niby kwilenie niemowlęce,
A przejmujący, tak niemęski...

Wśród mąk nieludzkich konał żołnierz w strudze krwi, konali straceńcy, co na stos „rzucili swój życia los". Ginęli bez narzekań, z cichą radością, że ich krwią i ofiarą powstanie gmach Wolnej Ojczyzny.

...A pieśń niosła ich dolę, uwieczniła bohaterów nieznanych, złożonych we wspólnym grobie, gdzieś na skraju lasu, a biały krzyż brzozowy przywiedzie jeno czasem przechodnia, by podumał nad tymi, co już odeszli...

Pieśń Legjonów, to wierna nuta życia pod ciągłą grozą śmierci, to echo grzmiących dział, pękających szrapneli, to płomień płonących osad, jęk mordowanych, krzyki cierpiących...

...Czasem zadźwięczy weselszym tonem. Gdy przycichnie huragan bojowy, a żołnierz wraca na odpoczynek z linji strzałów, wówczas jakaś beztroska, młodzieńcza swada wracają, na usta cisną się słowa radosne, żywe, okraszone dowcipem, pogardą życia, chęcią przepędzenia dni spoczynku, bo może za kilka dni, w pierwszym ataku przerwie się nić życia.

Więc...

Grzmią chóry, lub cicho pieśń dzwoni,
Jak żołnierski sen,
O Polsce, lub o... niej, w senny wieczór ten,
lub rwie się, jak burza tęsknoty,
rozprasza i czoła zachmurza...

W rowach strzeleckich rodzą się pieśni wesołe, skoczne, pełne zapału, siły i zdrowia, tych, co je śpiewali, czasem jakieś wspomnienia, czasem drwiny z wroga, to znów pochwała dla ułanów Beliny, dla piechoty, lub szczególnie zasłużonego pułku. W pieśniach pewność siebie, nieustępliwość, zawadjactwo i marzenia zwycięstw samych...

Lecz życie żołnierza częściej zalegają mroki nieszczęścia, niż jasność radości, częściej go niedola dręczy, niż los darzy dobrem. Wokół widzi śmierć i grób i znikające życia...

W zamecie bojowym, gdy huczą działa, wśród szczęku broni...

W serce godzony padł w pierwszym szeregu,
Krwi ciemne korale zabłysły na śniegu,
Gdy bój wrzał zacięty,
nagle śmiercią zżęty,
Osunął się martwy w śnieg biały...

Nikt nie płacze za jego trumną, nie biją mu dzwony, rzucą go we wspólny grób...

I tylko wicher w okoliczne drzewa uderzy,
niby pogrzebne organy,
Żołnierzom Polska requiem zaśpiewa
i pieśń poniesie na ojczyste łany...

Dopełniała się ofiara narodu, miljonem żyć opłacał swą wolność, z uporem jakimś przedziwnym szły orlęta do „Cudu", który zbliżał się już ku Polsce, a za orlętami dążyła pieśń oswobodzenia i wolności wojennym brzmiała tonem, niosła akordy surm bojowych...

...I spadły kajdany, powstał z martwych naród polski, a po nieśmiertelnym wyczynie Legjonów pozostała pieśń, co w dalekie wieki poniesie pamięć bohaterów, pamięć i sławę ich Wodza, Rycerza Wolności, Pierwszego Żołnierza Wolnej Ojczyzny — Marszałka Józefa Piłsudzkiego...

Pieśń przekaże potomności, ile krwi kosztuje wolność, ile nieszczęść budowało potężną Polskę...

Pieśń Legjonów, to nieśmiertelna sława w długie wieki przyszłości...

Ka-Jot, I. gimn. Tarnów.

Prowadził ślepy kulawego.

(Kilka uwag nad art. „Co boli"? „N. Ż." Nr. 7).

Znalazł się jeden śmiały i wystąpił otwarcie z żalami i żądaniami po części słusznemi. Byłoby wskazane, aby koleżanki i koledzy zajęli się bliżej tym artykułem, ze względu na wartość i ważność sprawy, jaką omawia.

— — — — — — — —

Choroba moralna jest większa niż fizyczna, prawda! — to też trzeba dlatego zdolniejszego lekarza, któryby taką chorobę leczyć potrafił i umiał z niej wyleczyć, bo tylko wyleczenie jest zaletą dobrego lekarza.

Kiedy złamiemy nogę, to nie idziemy do specjalisty od oczu, ale do ortopedysty. Takim specjalistą, leczącym z urzędu nasze choroby, jest każdy Wychowawca.

My jeszcze nie jesteśmy ludźmi całymi, czego najlepszym dowodem jest to, iż nie potrafimy bez pomocy starszych prawie nic zrobić.

Weźmy się się sami do reformy, dobrze! Ale jak taka reforma będzie wyglądać, — może byłoby coś podobnego co w Sowietach, — musimy tedy reformę całkowicie złożyć w ręce naszych Wychowawców, a sami dajmy tylko materjał do reformy podatny i zdolny.

Nie jest źle, ba nawet bardzo dobrze, jeżeli kolega poznawszy duszę swego przyjaciela, stara się go od złego odciągnąć zarówno słowem koleżeńskiem, które niekiedy wiele warta, jakoteż i dobrym przykładem: ale tacy należą do wyjątków, bo przeważna część naszych kolegów posiada te same co i my wady, niekiedy jeszcze w większym stopniu, aniżeli my, wobec tego niema co spodziewać się stąd jakiejkolwiek pomocy.

Dlaczego szkoła zabrania wspólnych przechadzek potomków Adama i Ewy, rzecz bardzo prosta, bo gdzie dwoje młodych, tam djabeł trzeci między nimi.

Wanda Więchowa (Władysław Mgła).

We fjołkowej olszynce.

Siedząc na skraju olszynki, na omszonym, opleśniałym bokami głazie, z zainteresowaniem obserwowałem wokół porozrzucane kamienie. Było ich kilkanaście, a wszystkie do połowy tkwiły w ziemi. Znać, leżały tu od lat wielu. Dziwne jednak, skąd się tu wzięły. Nie było w pobliżu rzeki, ani pagórka, a przypuszczenie, że wyłowiły je z ziemi ręce ludzkie — wykluczone. Wszakże te ręce byłyby zagarnęły kamienie pod przyciesie budynków lub na jakieś inne potrzeby. Wyglądało tak, jakby ktoś położył na nich swoją dziwną, tajemniczą pieczęć lub niewidzialną przeze mnie swoją rękę.

Siedziałam już dość długo, odpoczywając po zmęczeniu, gdyż drogę od stacji kolejowej przebywałam pieszo, drogę ciężką, piaszczystą, pośród pól i wiosek byłej „Kongresówki". Leżało przede mną jeszcze kilometrów trzy. Ktoś mnie po drodze informował, że mam iść na lewo, potem na prawo, potem prosto przed siebie, po jakimś czasie znowu na prawo i lewo, ale broń Boże wstępować do przydrożnej olszynki, bo tak tam — straszy...

A jednak, mimo przestróg, zatrzymałam się w olszynce, choć z wielką ostrożnością i na samym jej brzeżku...

Było tu ślicznie — tak ślicznie... Pachniało wiosną, a więc i fiołkami, bo jakby wiosna bez fiołków... Subtelne wonie podnosiły się od fioletu tego kwiecia jak wonie kadzideł, a ciszę przerywał tylko ptasi koncert.

Na zielonym, puszystym, świątecznym dywanie tu i ówdzie porozrzucane były kępki fiołków i małe, białe bukieciki zawilców gajowych.

Obserwując ten mały olszowy lasek, zrozumiałam, że jednak w owych wierzeniach ludu jest coś prawdy, skoro piękna całość wiosennego kobierca nie jest zepsuta przez stopę ludzką.

Jak zacznie kolega poznawać duszę koleżanki, to należy wątpić, że to się dobrze skończy.

Dość ładnie to na papierze wygląda, ale w rzeczywistości jest coś innego. Dotąd pan student jest porządnym studentem i uczy się, dopóki nie zacznie poznawać dusz koleżanek!

Wychowawcy mają całkowite prawo, że nam tego zabraniają, bo mają do tego podstawy, gdyż i oni byli młodzi i mieli takie jak i my przywary i namiętności, teraz — skoro to wszystko przeszli — patrzą na świat krytycznie, czego nam młodym, kierującym się wyłącznie uczuciem, brakuje. Na własnem opierając się doświadczeniu, mogą mówić: to jest dobre, tak czynić należy, a to jest złe.

Zresztą dałyby się usunąć i wspólne przechadzki, palenie papierosów i picie alkoholu, co się niestety zdarza! — gdyby nasi Wychowawcy zechcieli poznać nas dokładnie.

Architekt może tylko wtedy wykonać plan, kiedy zna dokładnie materjał, z jakiego będzie budował, podobnie ma się i z nami. Przy dobrej woli, Wychowawcy mogliby wiele dobrego z nas młodych zrobić. Powiedział Temistokles do swego nauczyciela: „Z najgorszych źrebców za umiejętnością dobrego jeźdźca najlepsze rumaki się stają".

Są Wychowawcy, którzy przełamali „przesądy światło ćmiące" i do nas się zbliżyli, — aby to wszyscy uczynili.

Złota Przygoda, II. gimn. Tarnów.

Młodzież i sport.

Dziwne to, ale większość zwolenników sportu stanowi młodzież. Ona bowiem, jako część społeczeństwa, najzdrowsza fizycznie, jest do sportu poprostu predystynowana. Starsi mają inne kłopoty, więcej pracują, więc też tak się do sportu nie garną.

Nie można powiedzieć, by nasi wychowawcy lekceważyli ideę wychowania fizycznego. Przeciwnie, prowadzi się propagandę wśród młodzieży i przyciąga ją do sportu. W gimnazjum uprawiamy gry sportowe, lekką atletykę, pływanie, miejscami i boks. A nawet, w celu pobudzenia nas do tem większej wytrwałości w pracy nad rozwojem fizycznym ciała, rok rocznie urządzane są w Krakowie zawody międzyszkolne o prymat w sporcie.

Bo też sport ma walory pierwszorzędne i to większe dla młodzieży, jak dla starszych. Sport ćwiczy mięśnie, ale ćwiczy i charakter i wolę młodego człowieka. W sporcie, a zwłaszcza w grach zespołowych, daje się zauważyć przedewszystkiem ta idea życia społeczngo: „Jeden za wszystkich — wszyscy za jednego". To też nic dziwnego, że sport tylu znalazł gorących, wprost fanatycznych zwolenników i to przeważnie pośród młodzieży.

Nakoniec chcę jeszcze zaznajomić Kolegów z innych szkół z pracą na polu sportowem w naszem gimnazjum, gdyż w roku zeszłym wyniki naszych reprezentantów w Krakowie były bardzo dobre. Ale rok bieżący przyniósł nam bolesną klęskę. Nasi reprezentanci w pa-

---

Naraz — runął w powietrzu chóralny śpiew, a szybkie tempo piosenki mówiło o szkolnej wycieczce. Istotnie z zakrętu podniósł się naprzód słup kurzu, z którego wyłoniła się gromadka uczniów, z gospodarzem klasy na czele. Śpiewali a szczerze, z całych płuc, z całego gardła, z całych sił, — a pieśń, szarpiąc zatrwożone wierzchołki olch, biła w przerażone niebiosa, jakby salwą armatnią...

„Uroczy, luby maju przybywaj proszę cię!
I w naszym miłym gaju zielono rozwiń się.
Bo tęsknię za fiołkiem, co w trawce kryje skroń
I radbym ja z pieśniami na kwietnią pobiec
błoń".

Prośba o rozwinięciu się zieleni była tak podkreśloną, a tęsknota za fiołkiem tak uwydatnioną, że doprawdy słyszałam jak rośnie trawa, podciągana w górę za strzępiaste uszy i jak fiołki, świadome swojej zagłady, chowają się pod baldachimy swoich szerokich listków...

Wpadli wprost na mnie i dziwne nawet, że nie strącili mnie z kamienia. A potem rozbiegli się po olszynce, wydając okrzyki radości i zachwytu nad fiołkami, wiewiórką, dzięciołem i t. d. Było ich ze trzydziestu. Biegając, rozbijali się o drzewa i nawzajem o siebie, a depcząc okurzonemi butami niesplamiony dotychczas, wrzorzysty kobierzec, najwidoczniej czegoś szukali. Wskazując pewne miejsca na ziemi, pochylali się nad niemi i wraz z profesorem starali się jakoby przeniknąć do głębi skorupę ziemską.

To mnie zaciekawiło, tebardziej, że wciąż zerkali w moją stronę, jakby pragnęli o coś zapytać, albo wyprosić mię stąd. Wreszcie zbliżył się do mnie profesor i po wstępnem, obowiązującem zdaniu: „Jestem..." i t. d. zapytał, czy nie mogłabym mu udzielić jakichś szczegółów, tyczących tej olszynki. Kiedy oświadczyłam, że jestem obcą, że w tych stronach znajduję się pierwszy raz, zasmucił się.

lancie, pięciokrotni zwycięzcy zawodów międzyszkolnych w Krakowie, przegrali z gimnazjum nowosądeckiem. W ten sposób hegemonja naszego zakładu w palancie została obalona. Nasi świetni lekkoatleci, którzy zajęli swego czasu w Krakowie II. miejsce, opuścili w przeważnej części już szkołę. Ostatni w tym roku ją opuszczą. Ale, mimo że gorsze osiągamy wyniki, nie opuszczamy rąk i pracujemy dalej. Być może, że odzyskamy utracone mistrzostwo i przy usilnej pracy zdobędziemy nowe.

Was zaś, Koledzy, prosimy gorąco, pracujcie i wy, hartujcie ciało i wolę, a wówczas będzie „mens sana in corpore sano"!

Zygmunt Harlig, gimn., Gorlice.

Włóczęga.

Klasa pierwsza — gimnazjum prywatne z prawem publiczności w Toruniu, druga — w domu (pasłem krowy), trzecia — gimnazjum całkiem prywatne obok Krosna, czwarta — obok Wieliczki, dwa tygodnie na „Kursach Maturycznych" w Krakowie (Grodzka 16), maleńki świstek zaświadczenia i wywietrzała głowa podczas wakacyj. Zdaję do klasy szóstej w G . . . . cach, miasteczku prowincjonalnem.

Łacina — świetnie, ale mało; greka — tak samo. Religja — nie ten materjał: dwa zadania polskie dobre. Łaska boska! Przychodzi profesor, pyta mię kultury klasycznej. Wybałuszam ślepia i zapytuję go, z czego to mam wiedzieć. Myślał może, że ma do czynienia z umysłowo słabym, lecz zmiarkowawszy, że mówię szczerze, przynosi mi „kulturę" Szczepańskiego. Ażem oniemiał, zoczywszy taką skarbnicę wiedzy. — Ależ, proszę pana profesora, nie znam. — A, to trudno — mówi. — Odszedł przecież. Przychodzi historja. Z całego Nankego zapamiętałem, że „pobili na głowę i uciekli w popłochu". Naturalnie, żem to wszędzie wtrącał, gdzie nie było potrzeba. Tem zaczynałem, to było moją osnową, służyło również za zakończenie. Zmiłował się przecież i odszedł powiedziawszy „ha! trudno!" — Najdramatyczniej było z matematyką. Profesor nadzwyczaj poważny, może trochę za zimny, dał mi dwa równania — rozwiązałem, bo równania jeszcze jako tako kapowałem. Następnie polecił mi obliczyć powierzchnię trójkąta, nie podając wysokości. Mówię, że to nie można (chce mię na kawał wziąć, myślałem). — Znasz twierdzenie Pitagorasa? — Tak! — odrzekłem. — No więc. Podparł sobie brodę i nic. Mój Boże! Ja słyszałem jeno o Pitagorasie. Myślę i myślę — z trójkąta robi się jakaś poczwara i spogląda na mnie jakoś zagadkowo uśmiechnięta, zaczyna wirować. Cóż u djaska! We łbie mi się kręci, czy oszaleję! Aż nagle, o małom nei krzyknął z radości. Jedna kratka w zeszycie, to pół cm. Wyrysowałem więc w zeszycie odpowiedni trójkąt, którego wysokość wynosiła 8 kratek, czyli 4 cm. Teraz z łatwością mogłem obliczyć powierzchnię. Następnie ubrałem mój trójkąt w jakieś konary i sęki i mówię: 10 cm^2. — Dobrze! — Bada moją pracę i zaciekawiony

---

— A o cóż chodzi? — spytałam. — Ponoć tu straszy...

— Niby... Lud opowiada dziwy. Podobno, oddawna już po olszynce i wokoło niej, nocami krążą zakapturzone cienie, a często pomiędzy drzewami widać przebłyski świateł...

— Pewno złodzieje kradną olchy — zaśmiałam się.

— Podobno nie. Po takiej nocy, rankiem, ciekawi parobcy wybierają się do olszynki na przegląd drzew, ale nie brakuje ani jednego, ani też nie widać śladów stóp człowieka. Właściciele tu zupełnie nie zagląda i drzew nie pilnuje, ani wycina. Widocznie prawda, bo wogóle nie widać w olszynce gospodarki ludzi. Jest przypuszczenie, że gdzieś tu pochowani są powstańcy...

— Powstańcy? Przecie wiedzianoby o nich.

— Niekoniecznie. Pochowano ich w tajemnicy, na razie dla odwrócenia podejrzeń od rodziny, lub w celu zatarcia śladów obozującego oddziału. A później zapomniano odkryć tajemnicę, albo wszyscy wtajemniczeni wyginęli.

I dlatego nie mamy o mogile wzmianki.

— Byłoby to ejdnak dziwnem... Ale czego ci chłopcy szukają?

— Grobu.. Twierdzą stanowczo, że znaleść go dzisiaj muszą — uśmiechnął się pobłażliwie. — Pozabierali z sobą nawet łopatki, gdyż uzyskali od właściciela (Rosjanina) pozwolenie skopania całej olszynki.

— Mali patrjoci... Ano, szczęść im Boże! Tylko co oni zrobią temi łopatkami?...

— Nic. Pobawią się i rzucą.

— Jakże oni badają teren? — zainteresowałam się naprawdę.

— Rozmaicie — śmiał się — jak który umie i może. Patrzą, pukają, słuchają. Może pani zechce zobaczyć?

— Istotnie warto. Pomożemy im szukać.

pyta: Jakim sposobem to zrobiłeś? — Tu zbudowałem, zbudowałem... zbuu... — No, ja ci też zbuduję dwóję. — Zapisał mi biedakowi tyle, ile wynosiła wysokość. — Dobrześ zgadł — odzywa się — lecz wytłumacz mi, w jaki sposób? — Kiedyś taki mądry — myślę sobie — domyśl się. — Nie powiedziałem. Przypatruje się na moje ręce, które były nieco seledynowej barwy. — Ach! Ty brudasie, jak mogłeś z takiemi łapami przyjść do gimnazjum! Pfe! — Nie wiedział, żem spał w jednej folwarcznej stodole na strychu, bo mieszkania nie miałem i nawet nie obmyłem się. — Ha! Trudno. — nareszcie odszedł, bo myślałem, że już stracę resztę przytomności. — Przychodzi dyrektor, przypatruje się na mnie akuratnie, jak na jakiego, bo ja wiem — i mówi: „nic z tego". Myślałem, że zginę od wstydu. Jeszcze mię nigdy taka katastrofa nie spotkała. Ot! głupstwo, myślę sobie, pojadę na „Kursa Maturyczne" do Krakowa, a tam miałem już posadę w pewnym młynie, wyszkoliłem się bowiem w tym zawodzie, będąc w klasie trzeciej. Poszedłem do kancelarji po świadectwa. — No i co zrobisz teraz? — pyta się mnie dyrektor. Musiałem chyba mieć straszną minę. Krew mi napłynęła do czoła, poczałem cały drżeć od złości, będąc bezsilnym na tyranję profesorską. Kiedym spojrzał na dyrektora, był zaniepokojony. — No, niby świadectwa masz bardzo dobre, lecz okazało się, że nic nie umiesz. Ewentualnie mógłbyś zostać w klasie piątej. — Nie mogłem mówić, bo mię coś za grdykę uchwyciło z niezmiernej radości. Opuszczałem budynek szkolny, będąc pogrążony w szalonem szczęściu. Ach! Jaki śliczny był wieczór! Gwiazdki mrugały tak figlarnie, słowiki, ukryte w łozach, tak ślicznie śpiewały, miasto, rzęsiście oświetlone, huczało radosnym rozgwarem publiki, samochodów, fur, z nad łąk, okrytych mgłą, dolatywał radosny wrzask dzieciarni.

Cicho wyszedłem na folwarczny strych, zląkłem się, usłyszawszy jakiś rechot. Koty. Poszedłem do mego legowiska... bodaj to nosacizna! W moim worku tłukły się koty, wyżerając kiełbasę. Posiliwszy się cośkolwiek suchym chlebem, poszedłem szukać stancji za miasto, mając na uwadze szczupłe finanse. Zaszedłem do jednego domu — niema. To samo usłyszałem w drugim i trzecim. Nareszcie zachodzę do jakiejś chałupy pod lasem. Na progu malutkiej obórki siedziała jakaś kobiecina. Nie mogłem dobrze rozpoznać twarzy na pierwszy rzut oka. — Gosposiu? — odzywam się. — A cego? — Czy nie mógłbym u was uzyskać stancji? — A no... jo wiem? Dyć samam jest, bo syn w robocie... zeliby pon chcioł, to locego. — A ilebyście chcieli za samą stancję? — A no... ja wiem? Ta hań ma studenta. Płaci jej dwadzieścia, ja wiem, wiele pan da! — Gosposiu, będzie dziesięć? — odzywam się. — Wiela? Dziesięć? A no... to ta jakosik bedzie! Poszedłem więc oglądnąć moją komnatę. Zrobiła na mnie nawet efektowne wrażenie. Okienko malutkie ,a tak nisko, żem mógł z łatwością do ziemi dostać przez nie na drugą stronę, podłoga, niby to czysta, w jednym kącie pszenica, w drugim żyto, w trzecim gruszki i jabłka na spółkę, a w czwartym dziura, przez którą ustawicznie przelatywał bieluśki królik. — A! to fajnie — mówię. — Dzisiaj się do was przeniosę. — A no... dobrze, dobrze. — Przyniosłem sobie swoje „bety" z niegościnnej stodoły, taszcząc się z mozołem do mojej nimfy.

W. Adam, VII kl. II gimn., Tarnów.

Matka Boska Ostrobramska.

Pośród kwiatów morza,
wśród kwiatów powodzi
Patrzy Matka Boża
Do błądzącej łodzi

Do błądzącej łodzi,
w której dzieci płyną,
Czy im wiatr nie szkodzi,
Czy z fali nie zginą?!

A w oczach dziewicy
Blask miłości płonie,
Od Boga Rodzicy
Zdrój łask codzień wionie.

W złotej tkanej szacie
Dłonie ma złożone
Patrzy k'tobie, bracie,
W złocistej koronie.

Nieszczęściem złamany
Do Matki pospieszy,
A z tej Ostrej Bramy
Matka go pocieszy.

O! Święta! Co w Ostrej Bramie
Świecisz z chatyńki swej!
Wysłuchaj tęskne błaganie
Znękanej duszy mej.

Wysłuchaj prośby mej!
Użal się mojej doli,
Pieczę nademną miej!
Wszak i mnie Krzywda boli

Niechaj opieka Twoja
I moją duszę popieści,
Niechaj modlitwa moja
Osłodzi te dni boleści.

M. Gawalewiczówna
ucz. kl. VIII. gimn. SS. Urszulanek.

O przeszłości i przyszłości.

Motto: „Die Jahre fliehen pfeilgeschwind". Schiller.

W tłumaczeniu. „Czas szybko mija".

Mam zamiar pisać o przeszłości i przyszłości, chociaż nie jestem ani historykiem (mógłby o tem wiedzieć mój profesor historji!), ani prorokiem (zawsze jednak wyprorokuję, kiedy należy zachorować, t. zn. nie przyjść do „budy"; ale tylko do „budy") i chociaż niejeden zrobi mi pewnie ciężki, jak świadectwo dobrze wywatelinowane „dwójami", zarzut (szkoda, że nie wywatelinowaną zarzutkę), mówiąc: Poco pisać o przeszłości? Co było, a nie jest, nie pisze się w... feljeton i t. p. Ale tego nie słyszę, więc piszę, póki jeszcze nie wynaleziono feljetonu dźwiękowego, t. zn. takiego, któryby wszystkie uwagi czytelników nad danym feljotonem wypowiedział nad uchem biednego autora. Wówczas to nie mógłbym słodko sypiać w marzeniach (nie w kinie „Marzeniu") o przyjemnych chwilach przeszłości, np. o świętach. Mam tu na myśli nietylko te dni, które są zaznaczone w kalendarzu drukiem tłustym, jak zeszyty szkolne i czerwonym, jak błędy w tych zeszytach, ale i te dni powszednie, a mimo to świąteczne, bo wtedy mamy (nota bene uczniowie i profesorzy) święty spokój, świąteczną „labę", no i świąteczną babę z rodzynkami.

Uświadamiając sobie, że już dwa miesiące upłynęły od owych dni „sielskich, anielskich", mysimy przyznać, że słuszne są słowa Schillera czy szlagiera (motto). Tylko w słowach Schillera należałoby zrobić małą poprawkę (choć poprawki zneisione), a mianowicie: użyć zamiast wyrazu „die Jahre" — „die Monate". Każdy przecież musi przyznać, że moneta płynie szybko, a nawet szybciej od miesięcy. Tem właśnie tłumaczy się fakt, że przed pierwszym, a nawet już zaraz po pierwszym (po pierwszej godzinie w nocy) jest często urzędnik goły, jak najprzedniejszy święty turecki.

Ale pozostawię ten drażliwy temat w świętym tureckim spokoju, bo widzę, że niejeden traci humor (telewizja), podobnie jak i ja; a humor jest tak potrzebny do pisania feljetonu, jak szlify generalskie do... objęcia teki ministra. Tylko byłem wyjątkiem (choć wyjątków, zwłaszcza łacińskich nie znoszę) i awansowałem (= balansowałem) odwrotnie: najpierw nosiłem tekę (na książki), a potem szlify generalskie (na scenie). Tak jest: byłem generałem, ha! nawet dykt-aktorem, choć nie zrobiłem zamachu stanu (robiłem tylko zamachy rękami na scenie), ani na mnie, jako dykt-aktora nikt zamachu nie robił.

Ale dość już o przeszłości.

Teraz z okazji nowego roku, a raczej nowego opółrocza, zabawię się w jasnowidza, to zn. takiego, który widzi, gdy jest jasno. Tylko proszę mnie nie posądzać o jakąś styczność z duchami (wolałbym mieć styczność z druhami, a raczej z druhiniami), czy też z djabłami (ci bowiem są, jak się zdaje, niebezpieczniejsi nawet od profesorów), gdyby się przypadkiem sprawdziła wbrew moim intencjom któraś z moich przepowiedni.

A są one następujące: Półrocze to, jak i każde inne, będzie obfitowało w wyjątkowo nadzwyczajne zdarzenia. Wróżąc z lotu ptaków (wizytatorów), będzie się odbywała nauka w zawrotnem tempie (tępo, bo się zawróci uczniom w głowie), ale oczywiście tylko w czasie pobytu tych przelotnych ptaków w gorących krajach (bo gdzie się oni zjawią, tam się robi gorąco).

Uczeni i uczennice wynajdą nowe prawa fizyczne, za które w nagrodę otrzymają... dyplom niedostateczny. W porze zimowej, a nawet wiosennej i letniej śnieżne zaspy, a raczej zaspania spowodują spóźnienia samochodów, kursujących na linji: mieszkanie—„buda". Tu i ówdzie zdarzą się zawieje (klasa „zwieje") i wylewy („wyleją" kogoś z „budy"), a na porządku dziennym będą ulewy (masowe „ulania") i oberwania chmur, a raczej „dwój".

Najspokojniej będzie w okresie ferji świąt wielkanocnych. Za to w czasie klasfikacji nastąpi straszne trzęsienie ziemi, a raczej spodniami (naturalnie tylko w szkołach męskich), co zwykle jest połączone z trzęsieniem szyb.

Najciekawsze jednak wypadki zdarzą się w „trupikalnym" klimacie krajów podzawrotnikowych (kl. VIII i V kurs). Męska ludność tubylcza będzie w czasie wielkich upałów w wielkich opałach finansowych czyli opałowych (zapałki, papierosy). Na krótko przed maturą spadnie „z pod jasnej gwiazdy" meteor (przewodniczący matury), wywołując ogólny popłoch i całkowite zaćmienie. Dlatego też kilku(a) sławnych lotników(czek) którzy(re) już przez długi czas utrzymywali(ły) się w powietrzu (bujali(ły), ustanawiając rekord długości lotu, wpadnie na dno oceanu (i oka publiczności), skutkiem wyczerpania się oliwy w aparacie (oleju w głowie).

Ale zdarzy się też wiele pomyślnych lotów transmaturycznych, odbytych na aparatach, popędzanych „psim ......" Również niejeden(dna) turysta (stka) zakończy szczęśliwie swoją turę w wyprawie naokoło gimnazjum czy seminarjum zdobyciem trudnego szczytu: matury. /

Jeśliby się ktoś chciał dowiedzieć o dalszych losach tych pilotów czy turystów, to proszę się zgłosić do mnie: urzęduję codzień od godz. 1—3 w nocy (pamiętajcie, że wolno chodzić tylko do godz. 7 wieczór!).

Na zakończenie zasyłam wszystkim Koleżankom i Kolegom życzenia nowopółroczne, no i — ponieważ „czas szybko mija" — wesołego Alleluja! **„Dykt-aktor"**, I. gimn Tarnów.



Radość życia.

Radość życia!... Coś niepojętego, zdawałoby się, w naszych czasach, pełnych smutku, udręczeń, kataklizmów, zbrodni... Zjawisko jakieś nadziemskie, niebiańska, promienna, słoneczna, lekka, w blaskach cała, cała jak słońce, jak uśmiech — płynąca wśród kwiatów i uśmiechów dziecięcych przez góry i doliny ziemskie, siejąca swe blaski i jasność na wsze strony pełnemi dłońmi ku ludziom zwróconemi. To radość życia. Ale jakże wygląda na ułudę, na miraż, na coś jedynie mitycznego, legendarnego! A jednak, a jednak... toż to przecież jest istota życia człowieka. Bóg dobry, stwarzając człowieka dla chwały Swojej, utworzył

Czarny Orzeł.

Za tych co zginęli.

(Dokończenie).

— Każda potęga zdaleka musi być taką, jak te gwiazdy; zwiewną, migotliwą, nikłą — rozumował pierwszy z narciarzy, uzbrojony w zielony sznur, zawieszony na szyji.

Szli! Myśleli o tylu rzeczach, o tylu dziwnych rzeczach nieznanych ludziom... Myśleli o tem, co zwykłemu człowiekowi nie jest potrzebne, co mu nawet zawadza, krępuje go... wiąże... Myśleli o wszystkiem! Ale w tem wszystkiem była Polska i Ideał. Te dwie rzeczy stały się ich drugą naturą zespoloną z niemi ściśle, nierozerwalnie, niepodzielnie. Byli Polską! Olbrzymią! Potężną!

Tylko Bóg może myśleć podobnie...

Po chwilowym odpoczynku ruszyli dalej. Droga stroma z początku, teraz biegła łagodnie, opasując potężną górę wąską wstążką. Nikt nic nie mówił, nie porozumiewano się, nie wydawano rozkazów, a przecież posuwano się za śladami, których szukały uparcie długie jęzory latarek, przeskakując z pnia na pień, z krzaka n akrzak... z cienia w cień. Jasne pasy światła lizały drogę, załamując się na kryształach i szarą powierzchnię, osnutą nocą, zamieniały na żywą... przywracając jej życie, ruch, piękno.

Nagle zatrzymał się pochód.

— Co tam? — zapytał przyboczny.

— Zgubiłem ślad — rzekł harcerz, idący do tego czasu stale o kilka metrów przed narciarzami.

— To źle — zasępił się przyboczny. — Uwaga! — podniósł głos, zwracając się do harcerzy — Kazek zgubił ślad, Fregaty pomogą mu — ruszać!

Sznur postaci załamał się i zastęp wymieniony rozpadł się na pojedyncze cienie, poruszające się w różnych kierunkach. Czas upływał, a nikt z pomyślną wieścią nie nadjeżdżał. Pozostali zaczęli się niecierpliwić. Na dobitkę mróz wzmógł się i wciskał się mimo ubrań do środka, ziębiąc rozgrzane ruchem członki... i obezwładniając je.

— Jest — rozległ się głos Kazka z oddali

go dla radości i ten mu jedyny dał w naturze pęd niepdzeparty. ku szczęściu, ku radości. Jeżeli więc niema tej radości, zginęła gdzieś w pędzie człowieka poprzez wieki, to człowiek to uczynił przez swą wolną, ale słabą wolę. Jeżeli to on winien, a Bóg zamiarów swoich nie zmienił, bo ma je odwieczne, zawsze t esame, to i on również, człowiek, z Bożą pomocą, mocen jest znowu odnaleść, ożywić, rozdmuchać. Nie każdy to potrafi — prawda, — ale może choć jeden taki się znajdzie.

Byle zacząć — już dalej pójdzie wszystko swoim pędem. Któż to będzie taki? — Ludzie sędziwi, patriarchowie rodzin, osiwiali bojownicy życia, ojcowie nasi?...

Takby być powinno. Ale, niestety, oni jeszcze nie mogą otrząsnąć się od tych gromów, które w nich uderzyły, w momenciee, gdy słońce na niebie świeciło, gdy nic nie zapowiadało zbliżającej się burzy. A później, — oszołomieni, ogłuszeni, zrozpaczeni wreszcie, gdy wszystko dokoła nich w gruzy się waliło, gdy ledwo z życiem, okryci ranami, obdarci i wynędzniali wydobywali się z tego piekła, które rozszalało nad ziemą naszą, musieli stanąć, mimo chwiejących się nóg, mimo gasnących sił, do walki z nędzą i jej konsekwencjami, ze złem i zbrodnią.

I walczą do dzisiaj. Już im może lepiej, już przejaśniało się nieco niebo nad ich głowami, ale w duszach ich pozostanie do końca życia przerażene, gorycz, jad, nieufność, śmierć.

Nie od nich więc, ale dla nich, którzy nas sobą osłonili w tym potopie złego, szukać i niecić winniny radość życia.

Kto? — My! — Oczywiście my i tylko my. To znaczy: „My młodzi — my harcerze"!

Tak! To jest obowiązkiem naszym dziejowym, spłacenie sprawiedliwości, wypłata za ich krew i udrękę, — za ich dla nas rozdarte szczęście.

I nikt inny tego uczynić nie może tak prawdziwie i łatwo, jak my — młodzi, my — harcerze! — Dlaczego?

Bo cieszyć się, radować — to znaczy: mieć świadomość posiadanego dobra, mieć nadzieję zdobycia go łatwego w przyszłości, mieć rozmach życiowy, mieć przed sobą wszystko i wiedzieć, że w nas jest moc zdobycia wszystkiego, mieć duszę pełną entuzjazmu, świeżą, jędrną, niewzruszoną jeszcze tchnieniem goryczy.

A któż ją ma taką, Kto ją może mieć taką?

Przedewszystkiem młodzi, przedewszystkiem prawdziwi harcerze!

Co znaczy być młodym, co znaczy być harcerzem?

„Młodym być" — to znaczy być pełnym zapału, energji, rozmachu, inicjatywy, mieć przyszłość przed sobą, mieć głowę pełną genjalnych projektów, mieć pewność, że prędzej czy później osiągnie się buławę marszałkowską, że wszystko przezwyciężymy, wszystko pozostawimy za sobą, że dojdziemy do słońca.

„Być młodym" — to znaczy być wrażliwym na każdy promień słoneczny, na każde jaśniejsze odbicie czegoś wyższego, lepszego, czyst-

---

i światło latarki zaczęło opisywać koła, wskazując pozostałym kierunek.

— Ruszać! — rozległ się głos przybocznego.

I znowu szereg postaci sunął bezszelestnie zboczem góry, zjeżdżając łagodnie w dół. Mróz wzmagał się, ale księżyc wypłynął już wysoko i rozjaśnił okolicę, usuwając choć w części wrażenie tej: krwi przykrytej płaszczem żołnierskim... Twarze poweselały, oczy zwężone zimnem rozszerzały się, rozpaliły; za lasem widzieli już szczyt ich własnego domu, wybodowanego z takim nakładem pracy. To był ich dom! Własny! W wolnych chwilach spędzali w nim czas, żyjąc jak „leśni ludzie". Tej nocy wydał im się podwójnie miłym. Wiedzieli już, że tam prowadzą ślady ich drużynowego, wiedzieli też, iż musiał przygotować nie byle jaki program, jeśli ich tak nagle wyrwał z domów...

Radośnie... lekko wjechali do lasu, gdy wtem ruszyły się konary, zaskrzypiały żałośnie wysokie jodły i niebotyczne świerki... Coś szło nad lasem strasznego — niepojętego; przemoc to była zrodzona z tej krwi! czy też piękno i dobroć niosła im w ofierze — ta nagła groza...

Czekali na cud...

Nie wszyscy jednak. Kazek, wychowany wśród tych lasów i gór, odgadł mowę natury... odczuł ją... Wiedział co to się dzieje nad nimi i nogi zadygotały pod nim, ukląkł prawie na nartach.

— Co ci jest — zapytał go Jędrek.

Kazek podniósł do góry załzawione oczy i z trudem wykrztusił:

— L—a—w—i—n—a!!

Słowo to było piorunem. Postacie zakłębiły się..., zakotłowały. Ciszę przerwały nawoływania, krótkie, rozkazujące lub płaczliwe, błagalne. Kilku zaczęło się spiesznie oddalać. Kazek wstał z kolan i ruszył przed siebie, z obłąkaniem prawie przedzierając się przez krzaki jałowca, zastępujące mu drogę. Nim dobiegł do skraju lasu, silna dłoń Zdziska osadziła go w miejscu.

— Szaleńcze! — usłyszał zduszony głos przybocznego.

— I cóż? — mruknął hardo. — Nie będziesz go ratował, gdy ginie? Gdzież poświęcenie?! Ha! ha!... I co? nie... idziesz? On ginie, a tobie

szego; to znaczy iść w słońcu i kąpać się w słońcu.

„Być młodym“ — to znaczy być bohaterem, nie rachującym na zimno, ale wyrywającym się bez namysłu, za sercem, za ambicją i honorem.

„Być młodym“ — to znaczy również głęboko przewartościowywać wszystko i wszystkich, by wyjść z labiryntu kwestyj i wątpliwości życiowych na jasną, na otwartą drogę stałych, twardych, niezłomnych przekonań.

„Młodzież“ — to promień słoneczny, to uśmiech, to huragan, to piorun, to piękno i groza, to szafir nieba i orkan, to pęd, to życie, to prawdziwy człowiek, to cud.

A harcerz? — „być harcerzem“ — to to samo, wszystko to samo i jeszcze coś więcej.

Obok ambicji i honoru — głębsze inne poczucie własnej godności i obowiązkowości.

Obok jasnych oczu, uśmiechu, pędu naprzód — stanowczość, systematyczność, samodzielność, samowystarczalność. Obok promiennej beztroski — pełnienie obowiązku szarego na każdy dzień, jako głęboko pojętej służby Bogu i Ojczyźnie, aniołom i ludziom i całej przyrodzie.

Na pożegnanie Panu Porucznikowi Głowackiemu.

Panie Poruczniku!

Cztery lata temu powitał Cię hufiec szkolny tut. miasta. Dziś Cię żegnamy, gdyż odchodzisz na inne stanowisko, gdzie dalej będziesz szczepił w młode dusze hasła miłości Ojczyzny, tak, jak je szczepiłeś w nasze dusze. Praca była ciężka, ale już wydała owoce. Zahartowałeś bowiem ciała nasze w czasie ćwiczeń hufców szkolnych i na obozach letnich, nauczyłeś nas miłości broni. Przy współudziale grona profesorskiego pracowałeś nad rozwinięciem naszych umysłów.

Odchodzisz. Ale chwile spędzone razem z Tobą pozostawią miłe wspomnienie.

Czołem Panie Poruczniku!

Kronika szkolna.

Dnia 8 marca b. r. odbyła się podniosła uroczystość pożegnania Pana Porucznika Głowackiego, kom. hufców. Hufce zebrane w swoich zakładach wyruszyły do P. K. U., gdzie pożegnano Pana Porucznika. Przemawiał imieniem hufców kol. Nalepka Jan, imieniem grona profesorskiego p. dyr. Prokop. Pan Porucznik podziękował w żołnierskiej przemowie uczniom za pilność i sprawność, a gronu prof. za współpracę.

szkoda życia? Głupcze... — ruszył naprzód tak szybko, że Zdzisek nie mógł go dogonić. Chwilę wahał się... ważył słowa Kazka, aż ruszył kijkami, wbił je rozpaczliwym ruchem w śnieg, który zakwilił i — ruszył...

— Spełnię, com powinien!... — Szalonemi susami mknął za Kazkiem. Wypadł na równinę i popatrzył przed siebie. Jakiś cień zbliżał się szybko ku zjeżdżającemu Kazkowi.

— To on! — krzyknął i gnał z góry ku cieniom, które zawróciły, zbliżając się szybko.

A lawina szła, grzmiała już, wyła! Las chwiał się: bezbożnik oddawał hołd każdemu Bogu, który miał siłę i nią władał. Groźny Bóg szedł od szczytu w dolinę, porywając drzewa, miażdżąc i gniotąc wszystko, co spotkał na drodze w dzikiej pasji — zaborcy! Gnał w dolinę na złamanie karku, aż wtem zatrzymał się zdziwiony. Na równinie zobaczył trzy drobne postacie, zdążające szybko w kierunku lasu.

Wtem jedna z nich upadła, dwie inne przystanęły i popatrzyły ku szczytom, zaglądały w oczy Bogowi; drwiły z niego.

— Bohaterzy! — ryknął i zwalił się na nich, zasypał ich i dom. Jak burza przetoczył się, ciągnąc za sobą wszystko, co wbił w siebie, aż nadziany tem wszystkiem legł na dnie...

— — — — — — — —

Na skraju lasu stała gromadka harcerzy, patrząc przed siebie na śnieg zdeptany lawiną, zorany jej przemocą, na czarne płaty ziemi widoczne tu i ówdzie, ale nie widziała nic prócz wielkości tych, co tam zginęli!!

— Baczność!!

Wyprężyli się, jak nigdy. Twarze nie zbladły, nie zalękły się, były spokojne, spiżowe, zda się z kamienia wykute, taki bił z nich chłód — męka... i szyderstwo — temu, co leżał w dole: Bogowi samobójcy...

— Za tych, co zginęli: Ojcze nasz... — zaczął Józek.

Kolana ugięły się, na śnieg upadły krople łez: wielkie — serdeczne — braterskie. Modlili się!

A potem... Chorągiewki zastępów pochyliły się nad grobem bohaterów. Bohaterzy żywi żegnali zmarłych.

Wracali wolno do domów... do pracy...

Dnia 21 marca b. r. o godz. 4 popoł. odbędzie się w II. gimn. w kl. Vb zebranie szefów szkolnych, celem omówienia programu „Wieczoru obozowego".

Dnia 19 marca b. r. młodzież wszystkich szkół średnich w Tarnowie z własnej inicjatywy i własnemi siłami będzie obchodzić uroczystość imienin pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudzkiego, pod protektoratem MRP.

Dnia 28 lutego b. r. odbyło się losowanie nagród za rozwiązanie „rozrywek umysłowych". I-szą nagrodę 10 zł. przyznano Tadeuszowi Wróblowi II. gimn., II-gą Urbańskiemu Władysł. I. gimn., III-cią Bazalemu II. gimn.

U nas i w świecie.

Z Sejmu. Sejm przystąpił do swego głównego zadania, t. j. do ziany obecnie obowiązującej Konstytucji Rzeczypospolitej z 17-go marca 1921 r. Na plenum Izby Poselskiej odbyła się generalna debata nad projektem zmiany Konstytucji, wniesionym przez klub parlamentarny Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem. Po dyskusji projekt odesłano d okomisji konstytucyjnej. — Sejmowa komisja spraw zagranicznych uchwaliła projekt ratyfikacji traktatu handlowego z Rzeszą niemiecką. — Senat prowadzi obrady nad budżetem.

Rząd Sowietów przesłał rządowi polskiemu odpowiedź na notę werbalną tegoż w sprawie włamania do poselstwa Rzpltej w Moskwie.

Dotychczasowy rząd łotewski gen. Celmiusza podał się do dymisji. Prezydent republiki Kwiesis powierzył utworzenie nowego gabinetu przywódcy partji chłopskiej Ulmanisowi.

Nowy rząd finlandzki w miejsce wybranego prezydentem państwa Svinhufruda utworzył min. Kallio.

Wiedeń gościł ostatnio ministra spraw zagranicznych Rzeszy niemieckiej Dra J. Curtiusa, który złożył wizytę kurtuazyjną związkowemu rządowi republiki austrjackiej.

Tureckie zgromadzenie narodowe uchwaliło na wniosek prezydenta republiki Kemala Mustafy rozwiązanie parlamentu i rozpisanie nowych wyborów. Rząd turecki zgodził się wziąć udział w obradach komisji studjów unji europejskiej. Zaznaczyć trzeba, iż Turcja nie należy do Ligi Narodów.

W pierwszych dniach marca został przez ministrów spraw zagranicznych Francji, Wielkiej Brytanji i Włoch podpisany układ flotowy, realizujący tem samem cel, jaki przyświecał zeszłorocznej konferencji flotowej w Londynie. Układ ten doszedł do skutku dzięki zabiegom angielskiego min. spraw zagr. Hendersona i pierwszego lorda admiralicji Aleksandra. Powyższy układ flotowy, zatwierdzony przez francuską Radę ministrów i włoską Wielką Radę Faszystowską, włączono do wielkiego paktu flotowego, obejmującego prócz wymienionych wyżej mocarstw europejskich również Stany Zjednoczone A. P. i Japonję.

W Indjach zanosi się na uspokojenie, gdyż, jak dzienniki doniosły — znany przywódca nacjonalistów indyjskich Mahatma Ghandi podpisał ugodę z wicekrólem Indyj angielskich lordem Irwinem, na mocy której w zamian za zaprzestanie bojkotu towarów angielskich Hindusi uzyskali pewne przywileje ekonomiczne.

Odpowiedzi Redakcji.

P. Wanda Więchowa. Dziękujemy, zarazem prosimy o dalszą pamięć.

Schabowski, I. gimn. Jeszcze nie przetrawiony.

„Kajot". Jeden umieszczamy.

Gamoń Pankracy. O tak. Kiepura żyje jeszcze.

Adamkiewicz N. Tuchów. „Janko muzykant" cudny. Owszem. Tak. No to zależy...

„Em-te", Tarnów. Umieścimy w kwietniu.

„Kier-bała". „Sługi" dosyć do... kosza.

Siemiawski, I. gimn. Brak wprawy. Uebung macht Meister".

„Mu-Ca", Żabno. Nie myślimy polemizować. Uszanowanie.

Kaczanowski Fryderyk, Gniezno. Ależ z całą pewnością. Żyjemy przecież w XX wieku.

„Wicher". Mdłe.

Mętny Alojzy, Dąbrowa. Nihil novi sub Iove.

Harlig, Gorlice. Dziękujemy. Zamieszczamy.

I. Mestor. Z biegiem czasu.

P. Kaużak D. Odwalone z „W Kongo nic nowego".

Smietana, II. gimn. Dziękujemy. Owszem. Artykuł dobry. Prosimy o więcej.

„Wan-bad". „Pozytywizm a Madera" nie dla nas.

„Hajota", I. sem. Niech Pani westchnie do muzy. Może kiedyś.

Omego Onufryj, Stanisławów. Od kropki do kropki.

P. R. Jadzia. Dziękujemy serdecznie za, a prosimy o jeszcze...

Pani W. K. Będzie ogłoszone w „N. Ż."

Kistarew J. Mamy dużo do życzenia.

G. Klawisz. W najbliższej przyszłości.

Kurator: Prof. Stanisław Zając. — Naczelny redaktor: J. Rachlewiczówna.

Z drukarni J. Pisza w Tarnowie — pod zarządem St. Starostki.